

Od autora: Ile miłości, tyle różnych scenariuszy. Niektórym nie dane jest przetrwać, inne pokonują wszelkie przeciwności. O tym ta opowieść. Zapraszam do czytania i dzielenia się refleksjami :)

Moja maleńka

Wiem, że miałaś mężczyznę, ale nic poza tym mi nie wiadomo.
Z tego, co mi powiedziałaś, był szmaciarzem, ostatnim łajdakiem, ale bywał też słodki.
Kręcił się wokół ciebie na zasadzie dominacji – ty się nigdy nie sprzeciwiałaś?
Nie stronił od alkoholu, i wtedy robił się agresywny, demolował mieszkanie.
Potem przepraszał do następnego razu, kiedy cały cyrk powtarzał się na nowo.
Ale musiałaś przejechać się tym pociągiem do Santa Anita, żeby odkryć zakryte karty.
Gówniarz okazał się nikim, kiedy po pijanemu chciał wyrzucić cię przez okno.
Bredził coś o Bogu i jego planach na ciebie, bo skoro nie chcesz z nim współżyć, to należy ci się kara i to sromotna, bo kobiety, które odmawiają mężczyźnie, są przeklęte.
Zginał marnie po pijaku pod kołami samochodu jakiejś panienki, która akurat jechała na randkę z facetem swoich snów, który w wolnych chwilach posuwał sprzątaczkę.

Nasze drogi przecięły się pewnego grudniowego dnia, kiedy akurat szedłem po karpia.
Jako samotny mężczyzna chciałem urządzić sobie Święta.
Na chwilę zapomnieć o samotności, o byciu w niebycie, o pustce, w jakiej trwałem.
Noce sprawiały, że czułem się, jakbym był na mieście, gdzie nikogo nie było poza mną.
Wiedziałem, że każdy może marzyć, ale studnia z moimi marzeniami dawno wyschła.
A ja żyłem jakby mnie nie było, jakbym był swoim własnym cieniem.

Zbliżała się Wigilia, czas radości i pojednania, narodzin Jezusa w skromnej szopce.
Ulicami szli szczęśliwi ludzie oczekujący na prezenty choinkowe i miły czas.
W ulicznych megafonach śpiewał Frank Sinatra „Jingle Bells”.
Gdziegdzie stały wielkie bałwany z ogromnymi marchewkami w nosach.

I komu miałem powiedzieć, że być samym to nie to samo, co samotnym.

Poślizgnęłaś się na ulicy, a ja szybko podbiegłem i podałem pomocną dłoń.
- Dzięki za to, że pan był w dobrym miejscu i w dobrym czasie – powiedziałaś z wdzięcznością w głosie, posyłając mi piękne spojrzenie.
- Mów mi Mike, nie potrzeba sobie panować – odparłem oszołomiony jej urodą, którą śmiało mógłbym określić jako zjawiskową.
- Dobrze, zbawco – zamknęłaś.
- Jak masz na imię? – spytałem.
- Helen – odpowiedziałaś, ukazując mi śnieżnobiałe zęby.

- Piękne imię, takie, jak jego posiadaczka.
- Jesteś bardzo miły. Dasz namówić się na kawę?

I nie muszę dodawać, że cała reszta potoczyła się bardzo szybko.
Wymieniliśmy się numerami telefonów i wkrótce zaczęliśmy się spotykać.
Bo na kochanie nie wolno czekać zbyt długo – może uciec jak spłoszony ptak.
Nawet nie wiem kiedy była to już miłość.
Spadła tak nagle, w zwykły, szary dzień, jak grom z jasnego nieba.
I pozostała, by każdego dnia budzić mnie z lekkim sercem i szczęściem.
Przy porannym goleniu śpiewałem i cieszyłem się, że dziś będzie kolejna randka.
Bo od lat byłem samotny i zapomniany przez kobiety, które chyba skreśliły mnie ze swej listy, uważając za mało ciekawy obiekt zainteresowania.
Ja też nie napierałem, nie byłem nigdy typem podrywacza, raczej byłem bierny.
Zakładałem, że miłość przyjdzie sama w letnią noc i za każdym razem się myliłem.
Biegły lata, a ja byłem coraz starszy i coraz bardziej zniechęcony do nowych znajomości.
Po prostu moja wiara gdzieś się po drodze ulotniła, znikła, nie było jej we mnie.
Moim jedynym przyjacielem był letni wiatr.

*Szedłem z nią w blasku księżycy, szepcząc słowa miłości.
Obok spadały gwiazdy, spełniając nasze najskrytsze marzenia.
Jak to, by była moją po czasie kres.
I ona marzyła o mnie.
Choć nie mówiła o tym często, ja wiedziałem, co do mnie czuje.
Byliśmy jak jedno, jak puzzle tej samej układanki.
Czytaliśmy w swoich myślach, czytaliśmy dogłębnie.
I to, co tam odnajdywaliśmy, upewniało nas w tym, że Bóg istnieje.
Zawsze pobłogosławi tam, gdzie dwoje ludzi się kocha miłością szczerą i czystą.
Kiedy był listopad, ja marzyłem o lipcu, i o tym, by móc kochać się z nią nad rzeką, w której później nago pływaliśmy, śmiejąc się i chlapiąc się wodą jak dzieci.
Już żadna dla mnie istniała tylko Helen, kobieta-prezent od losu, moja jedyna.
Mój anioł, który znów przywrócił mi normalne życie i poczucie własnej godności.
Lubiłem, kiedy w parku śpiewaliśmy sobie przy gitarze – nawet, jeśli trochę fałszowała, była w tym tak urocza, że chciałem słuchać jej głosu w nieskończoność, bez końca...
Nie kupowała mi drogich perfum, ale kiedy mnie dotykała, kiedy mnie dotykała...*

I kiedy zachorowałaś, prawie się załamałem, choć chciałem dla ciebie jak najlepiej.
Kiedy zabrano cię do szpitala, wypilem pół litra whisky i nie rzygałem, cierpiałem, bo moja miłość mogła odejść w zaświaty, pozostawiając mnie w rozpacz i bólu, a ja mogłem zostać jak palec, samotny, bez kochania, które dawało mi siły do życia, i prosiłem Boga o ratunek.
Mijały miesiące, a ty musiałaś walczyć z przeklętym nowotworem, który na szczęście nie był złośliwy – to w tym wszystkim było pocieszające.
Chodziłem do Niego każdego dnia, by błagać.
Moje łzy spadały na kościelną posadzkę, i a ja nadal się nie poddawałem.
Bez ciebie moje życie byłoby śmiechu warte, byłoby pustką i nędzą.
Odkąd w nie weszłaś jak burza, nic nie mogło już być jak dotąd.
Jak mogłem tyle lat żyć, nie znając ciebie?
On milczał i nie dawał mi na razie żadnych szans.

Ale ja postanowiłem prosić Go do skutku, w końcu jest dobrym Ojcem, a przedstawianie Go jako mściwego okrutnika jest bzdurą wyssaną z palca, kłamstwem i niedorzecznością.
A ja wciąż nie umiałem uwierzyć, że mógłbym cię stracić.

*Szedłem z nią w blasku słońca, szepcząc słowa miłości.
Niedaleko nas spadały gwiazdy, srebrzyste i jasne.
W małym pokoiku, na poddaszu, szeptałyśmy o kochaniu.
Była tak bliska, tak moja, taka, jaką nigdy żadna by nie była.
Tam, na wsi, było nam dobrze, jak nigdzie indziej, jak w rajku.
Rankiem chodziliśmy na kajaki, by potem wypełniać dzień długim spacerem.
Wieczorem paliliśmy świeczki i całowaliśmy się całymi godzinami, aż sen nas zmorzył.
Oczami duszy wciąż widziałem jej uśmiechniętą twarz i piękne, niebieskie oczy.
I do dziś nie wiem, czy był to wytwór mojej wyobraźni czy magia.
Zawsze możesz kupić marzenie lub sen za pieniądze, które nie istnieją.*

Byłem w szpitalu każdego dnia, zawsze musiałem wiedzieć, jak się czujesz.
Czy cię nie tracę, czy nadal będziemy parą i to zatopioną w miłości.
Czy Bóg nie zabierze mi ciebie i nie zaśmieje się gromkim śmiechem.
Ale wierzyłem w Niego i w Jego moc odnośnie twojej osoby.
Bo lekarze mówili mi, że masz bardzo silny organizm.
Choć miałaś raka odbytu, ja wciąż wierzyłem.
Ciągle chodziłem z tobą po parku i wciąż całowałem twoje karminowe usta.
Jeździliśmy na chemię i wierzyliśmy, że rak się cofnie, że śmierć cię ominie.
Lekarze byli pełni optymizmu – mówili, że to się da zaleczyć, że bywają gorsze raki, które są nieoperowalne, więc wtedy wyrok śmierci jest jednoznaczny.
Błagałaś o zdrowie, o to, by móc się normalnie wypróżnić, by rak nie zadawał tyle bólu..
Prosiłaś o coś, co może nie było ci dane.
Nie miałaś o tym pojęcia, w głowie krążyły ci myśli radosne i pełne wiary.
Przecież chciałaś wrócić do życia, znów spacerować ze mną po parku, znów kochać się nad rzeką, na łące, gdy obok śpiewają świerszcze, a radosne słońce rozjaśnia myśli.
To miłość dawała ci tyle sił, to ona sprawiała, że byłem całym twoim światem, do którego tak bardzo chciałaś wrócić, cieszyć się nim i już nigdy z niego nie odchodzić.
A ja byłem w niebie, widząc każdy twój uśmiech, który mi posyłałaś.
Był jak bezcenny skarb, jak słowo pocieszenia w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

*Szedłem z nią jakby we śnie, jakby w innym wymiarze.
Czasami czułem, że to się nie dzieje, jak sen, jak mara...
Kolory, które nas otaczały, były całkiem inne, magiczne, nieziemskie.
Wokół słyszałem szepty aniołów, radosne, pełne wiary w to, że lepsze nadejdzie.
A ja wierzyłem, że jesteśmy na drodze do Santa Anita, i po drodze nic złego nas nie spotka.
W słońcu dotykałem jej włosów, pieściłem je i gładziłem, jak największy skarb.
Ona dotykała moich ramion i mówiła mi, że jestem mężczyzną jej snów.
Przecież nie byłem aż tak mocno zbudowany, pomimo to ona to doceniła.
Kochaliśmy się i nic nie mogło tego powstrzymać.
Nasz spacer po parku był jak długi pocałunek pod jemiolą.
Trzymałem jej drobną dłoń i tak razem przemierzaliśmy parkowe alejki, zakochani, pełni wiary w siebie, ona i ja, ja i ona, układanka pięknego puzzle.*

*A przewrotny księżyc szeptał wyraźnie: "Pocałuj ją, pocałuj ją".
W mojej wyobraźni była królową a ja królem, a naszym królestwem było kochanie.
I kiedy spijałem słodycz z jej ust, byłem naprawdę królem świata.*

Po jakimś czasie rak odpuścił, zniknął jak zły sen.
Byłaś zdrowa jak ryba, usunięto narośl i od tej pory rozpoczęłaś nowe życie.
Kiedy się o tym dowiedziałem, kupiłem ci dwadzieścia przepięknych róż.
Pragnąłem mówić, że cię kocham każdego dnia, rano, w południe i wieczorem.
Moje szczęście było trudne do opisania, czułem, że zmartwychwstaję.
Bez ciebie byłbym nikim, umarłbym lub zapił na śmierć.
A tak Bóg po raz kolejny okazał się łaskawy i podał pomocną dłoń.
Miałaś jeszcze szereg badań, ale żadne nie wykazało zmian.
Nastąpiło spontaniczne wyzdrowienie.
W każdy piątek, piliśmy szampana, by uczcić twój powrót.
Tego dnia wypisano cię ze szpitala i mogłaś rozpocząć samodzielne życie, wolne od trosk i bogate w radość, która rodzi się, gdy człowiek odzyskuje zdrowie i wraca do normalności..
Kupiłaś sobie rower, na którym jeździłaś każdego dnia rano, by nabrać kondycji.
W ogóle lubiłaś ruch fizyczny, co sprawiało, że czułaś się jak u pana Boga za piecem.
I świat znów stawał się młody, a noc zielona.
A ptaki w parku zdawały się śpiewać serenady specjalnie dla nas.
Bo miłość nie jest tylko dla młodych, jest dla wszystkich.

*Idę z nią jakby we śnie, jakby w rajskiej dolinie, gdzie śpiewają anioły i panuje Dobro.
Gdzie nie ma chorób, zła, wykrzywionych ludzi i ich parszywych owoców.
Nie ma tu cierpienia ani bólu – jest tylko zbawienna rozkosz.
Śpiewają ptaki, ale tak, że serce cieszy się z tego dźwięku, doznaje ukojenia.
A ja wiem, że nigdy nie mógłbym trafić lepiej - raj jest wszak jeden.
Idziemy parkiem, trzymając się za ręce, i śpiewając „Blue Moon”.
To nasza ulubiona piosenka z lat 60-tych.
Znamy nawet cały tekst i tonację.
W sennych zwidach śpiewamy ją na głosy, i cieszymy się własną radością.
Bo do szczęścia naprawdę nie potrzeba tak wiele – wystarczy bardzo mało lub mniej.
I kątem oka spoglądam na jej opalone ręce, i wzdycham, piękno istnieje w nas.
Moje marzenia o niej dotrwały do dnia, kiedy nie musiałem już marzyć.*

15 sierpnia 1965 roku doznałem olśnienia – postawić wszystko na jedną kartę czy nie.
Postawiłem, bez względu na konsekwencje, pewien swej decyzji.
Moja mała zasługiwała na bardzo dużo, na wszystko, a ja chciałem jej to dać.
Płakałaś, gdy wspominałaś okres choroby, płakałaś, gdy pamiętałaś mnie, opiekuna, który cię nie opuścił na krok, zawsze gotów do pomocy i oddania nawet własnych narządów, by zachować życie i szczęście.
Bo jeśli się kocha, to kocha się na zawsze.
Bez względu na, nie bacząc na życiowe przeszkody i złe spojrzenia.
Bez żądań i bez pretensji.
Zimą i latem, wiosną i jesienią.
Kiedy ma się katar, kiedy ma się gripę, lub inne drobne choroby.
W końcu kiedy w oczy zagląda śmierć...

Już wiedziałem, że to kobieta mojego życia, zapisana mi w gwiazdach.
Długo nie musiałem się wahać – to piękna bajka, której nigdy wcześniej nie opowiadano.
Nie przegapiłem swojej łódki, płynącej do wyspy szczęścia.
Kiedy się śmiałaś, cały świat śmiał się razem z tobą,
Nie musiałem pisać do siebie listów i udawać, że przyszły od ciebie, bo miałem cię całą tylko dla siebie,
w każdej chwili czułem twoją obecność, choć nie zawsze byłaś przy mnie.
Znów byłem dumny z tego, że jestem mężczyzną, nie tylko samotną istotą.
Byłaś powietrzem, którym oddychałem i krwią, krążącą w moich żyłach.
Kiedy poprosiłem cię o rękę, zapłakałaś i rzuciłaś mi się w ramiona.
Przytuliłem mocno i otarłem łzy.
Coś mi szeptało, że długo na to czekałaś.
Że kochałaś mnie tak jak ja ciebie, bezwarunkowo, do utraty tchu.

Kupiłem ci drogi pierścionek i oficjalnie poprosiłem o rękę twoich rodziców.
Mieliśmy już okazję poznać się wcześniej, kiedy odwiedzałem cię w szpitalu lub kiedy zapraszałaś mnie
na niedzielne obiady.
Polubili mnie od pierwszego wejrzenia, co bardzo mnie uradowało.
Już wtedy przez moment pomyślałem o nich w kategoriach przyszłych teściów.
I nie pomyliłem się.

Od tygodnia prawie nie śpię, żyję tą chwilą, która będzie miała miejsce w przyszłą sobotę.
Wtedy zostaniesz moją żoną, ukochaną, wyśnioną, odzyskaną.
Nie mogę usiedzieć, wciąż jestem w ruchu, pobudzony do granic wytrzymałości.
W czerwcu skończę czterdzieści pięć lat i nigdy nie przypuszczałem, że miłość raz jeszcze zapuka do mo-
ich skromnych drzwi, że znów pokocham i zostanę pokochany.
Jesteś młodsza ode mnie o całe siedemnaście lat i od biedy mógłbym być twoim ojcem.

Za chwilę mam z tobą randkę w naszym uroczym parku, jakby czas zatoczył koło i wrócił do punktu wyj-
ścia, kiedy powoli poznawaliśmy się, odkrywaliśmy przed sobą swoje wnętrza.
Lubiliśmy tę słodką rutynę, kochaliśmy te rozłożyste drzewa i bukiet pięknych kwiatów, zdających się ci-
cho szeptać o tym, że ta para przetrwa wszelkie nawałnice życia.

Właśnie zakładam kurtkę, buty, czapkę i sięgam po klucze.
Zamykam drzwi, by za moment...

23 maja 2023

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 05.06.2023 16:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.